

Jan Maciejewski: Październik. Oni już idą

Rewolucjoniści wiedzieli, że nie walczą z ludźmi, tylko światem, który wysłał tę garstkę słabo uzbrojonych wieśniaków do walki za Sprawę. Dlatego aż tak bardzo zależało im, żeby pokonać Wandę właśnie w październiku, odczarować ten miesiąc, tak jak odczarowywali wszystko dookoła siebie, czas i przestrzeń, kalendarz i hierarchię. Symbolem tej ambicji były płonące nad Loarą winnice. Nie dało się odrzucić Boga, nie odrzucając jednocześnie Jego darów. Rozpętując orgię niewdzięczności. Upajać się krwią zamiast winem, wzniecać pożary a nie grzać się przy ogniskach – pisze Jan Maciejewski.

Istnieje tajemne, wewnętrzne pokrewieństwo między winem i ogniem. Jedno i drugie, skrzęsany ludzką ręką płomień i proces fermentacji pojawiły się równocześnie w wielu różnych miejscach globu niemal równocześnie, za każdym razem zostały zrozumiane i przyjęte jako boski dar. A umiejętność ich wykorzystania pozostawała w ścisłym związku z rozwojem człowieka jako gatunku. Kultura to forma, a w zasadzie suma form, okazywania wdzięczności. Umiejętność obchodzenia się z podarunkami Boga i natury. Stajemy się tym bardziej kulturalni, im wykwintniej potrafimy dziękować.

Jako odkryte, darowane wino i ogień są naprawdę u siebie tylko w starym wspaniałym świecie. Wino z supermarketu i ciepło z kaloryfera to dwie twarze tego samego oszustwa. Są podejrzane, jak każdy, o kim

nie wiadomo skąd się wzięła. Nie wymagają czasu ani wysiłku, ich historia jest atrakcyjna jak stawka akcyzy, wywołuje mniej więcej tyle wdzięczności co rachunek za ogrzewanie.

Ale kiedy są u siebie, w starym świecie, nie mogą ukryć swojego magicznego rodowodu. Tego, że po stronie człowieka, jest tylko wypowiedzenie zaklęcia – ułożenie stosu drewnianych szczap, zerwanie i ugniecenie winogron. Płomienie ognia i fermentacji chcą już tylko, żeby im nie przeszkadzać. Najwyżej czasem coś przemieszać albo dorzucić. Wszystko, co zaczyna dziać się wewnątrz paleniska i moszczu, jest ponadludzkie, podarowane. To czary, czary październikowe.

Tego miesiąca wieczory zaczynają się wydłużać, ale nie jest jeszcze na tyle chłodno, żeby koniecznie zamykać się w domu. Październik to najlepsza pora na palenie ognisk, których kominek jest już tylko bladym odbiciem, słabą namiastką. Rozpalenie ognia na wolnym powietrzu jest jak rzucenie wyzwania wszystkim ciemnościom nocy. Wypowiedzeniem bitwy skazanej na porażkę, ale tylko jeszcze przez to piękniejszej; romantycznej tak, jak potrafi być tylko samotna szarża przeciwko całej armii wroga, ciemnościom wszechświata. Ale jeśli ogień z nami, któż przeciwko nam? Zbijamy się wokół niego ciasnym kręgiem, jak niedobitki wielkiej armii wokół cudem odzyskanego sztandaru. W jego płomieniach można zobaczyć fragmenty dawnych bitew, stoczonych w imię tej samej sprawy. Tylko nie nazywajmy jej po imieniu, bo po pierwsze i tak się to nie uda, a po drugie – ona woli pozostać nieuchwytną, niepojętą przez nikogo, nawet przez słowo. Chce być Sprawą, jak każda dziewczyna pragnie być Kobietą.

Ogień ogrzewa od zewnątrz, wino przynosi ciepło bezpośrednio do środka. A wraz z nim pojawia się druga część tej samej opowieści. Ona również zaczyna się w październiku, miesiącu, w którym Wergiliusz wzywał Bakchusa:

*Pójdź! Ojczy tloczni, odrzuć koturny i bosa
Zanurz wraz ze mną stopy w nowych moszczów rosy*

Od starożytności po średniowiecze ludziom nie mieściło się w głowach, że wino można wyrabiać w jakimkolwiek innym miesiącu. Pierwsze iskry fermentacji trzeba krzesać w październiku, żeby jej ogień mógł płonąć latami. Nie ma chyba drugiego dzieła ludzkości tak silnie związanego z czasem. Sztuki, której kunszt opierałby się w równej mierze na cierpliwości. Wino każe na siebie czekać. I może dzięki temu pomaga pamiętać. Znam pewną starszą osobę, która ze względu na swój wiek ma problemy z pamięcią. Zapomina imion, faktów, a nawet słów. Wystarczy jednak, że wypije jedną lampkę wina i zaczyna sobie wszystko przypominać.

Jestem przekonany, że tak jak w umyśle człowieka istnieje jakiś ośrodek uruchamiany przez ten trunek, tak też dzieje się z pamięcią całych wspólnot. Rodzin, narodów, kultur. Że wystarczy rozpalić ognisko, otworzyć butelkę wina, a upomną się o obecność najbardziej zakłamate fakty, powrócą z dalekiej przeszłości bohaterowie, którym nie postawiono nie tylko pomników, ale nawet nie wykopano grobów. Nie przez przypadek październik jest też miesiącem, w którym odbywają się dziady. To zemsta pamięci, odwet pokonanych i skazanych na zapomnienie. Tak działają czary października.

Konwent Narodowy pragnął, aby wojna w Wandei skończyła się przed upływem października. Już dziś możemy oznajmić, że Wandeia nie istnieje. Pozostawiliśmy za sobą jedynie zgliszcza i stosy trupów.

Rewolucjoniści wiedzieli, że nie walczą z ludźmi, tylko światem, który wysłał tę garstkę słabo uzbrojonych wieśniaków do walki za Sprawę. Dlatego aż tak bardzo zależało im, żeby pokonać Wandę właśnie w październiku, odczarować ten miesiąc, tak jak odczarowywali wszystko dookoła siebie, czas i przestrzeń, kalendarz i hierarchię. Symbolem tej ambicji były płonące nad Loarą winnice. Nie dało się odrzucić Boga, nie odrzucając jednocześnie Jego darów. Rozpętując orgię niewdzięczności. Upajać się krwią zamiast winem, wzniecać pożary a nie grzać się przy ogniskach.

Wojna między starym a nowym światem, którego heroldem i prorocstwem był jakobiński terror, nie mogła się rozstrzygnąć w żadnym innym miesiącu. Żeby rewolucja zwyciężyła, Wandeia musiała przestać istnieć, a świat – zapomnieć. Po pokonaniu powstania Wandejczyków rozpoczęła się prawdziwa wojna.

Obywatele republikanie, nie ma już Wandei, padła pod ciosami naszej wolnej szabli wraz ze swymi kobietami i dziećmi. Właśnie ją pogrzebałem w błotach i lasach pod Savenay. Wypełniając rozkazy, które od was otrzymałem, zmiażdżyłem dzieci kopytami naszych koni i pozabijałem kobiety, choćby po to, by nie rodziły więcej bandytów. Nie mam sobie do wyrzucenia wzięcia nawet jednego jeńca, wszystkich

zabiliśmy. Wszędzie na drogach leżą trupy. Jest ich tyle, że w wielu miejscach można układać piramidy. W Savenay strzelaliśmy bez przerwy, bo co jakiś czas przychodzili bandyci, żeby się poddać.

Plan Konwentu zakładał ostateczne rozwiązanie kwestii wandejskiej. Wysiedleni mieli być wszyscy, którzy nie brali udziału w powstaniu. Pozostałych należało eksterminować. Przede wszystkim trzeba było zabić kobiety – „rozrodczą glebę” i dzieci – „bo staną się przyszłymi buntownikami”.

Nie wolno oszczędzić ani jednego buntownika. Zgoda na ich ucieczkę oznaczałaby współudział w zbrodni ich egzystencji.

Co lud będzie miał ze zwycięstw, które niczego nie kończą? Trzeba sięgnąć po ostateczne środki. Uwolniliście kraj od raka, który go toczył. Ale trucizna jest pewniejsza od całej waszej artylerii. Każcie zatruwać zbiorniki wodne. Zatrzuwajcie chleb, podrzucajcie go tej nędznej, głodnej bandzie i czekajcie na efekt.

Wrogiem nie byli tylko Wandejczycy, ale sama Wandeia. „Wioski, gospodarstwa, lasy, łąki, krzewy żarnowca i wszystko, co może spłonąć, oddane zostanie płomieniom”. Jak stwierdził jeden z ministrów: „trzeba zamieść armatami ziemię wandejską i oczyścić ją ogniem”. Zniknąć musiało również jej imię. Wandeia została usunięta z mapy Francji, a jej nazwę zmieniono na departament Vengé (pomszczony).

Pomszczony i zapomniany. Pod sam koniec powstania Wandejczykom udało się wziąć do niewoli pięć tysięcy Republikanów. Powstańcy pragnęli już tylko zemsty na swoich katach. Ich dowódca, generał de Bonchamps, leżący wówczas na łożu śmierci, jako swój ostatni rozkaz wydał jednak akt łaski dla pojmanyh jeńców.

Tchórzliwi wrogowie Narodu mieli oszczędzić pięć tysięcy naszych, wziętych do niewoli. Istotnie, jest to prawda. Niektórzy spośród nich zdawali się być poruszeni owym niewiarygodnym aktem hipokryzji. Tłumaczyłem im i pojęli to, że nie powinni żywić żadnej wdzięczności dla bandytów. (...) To nie jest rewolucyjne. Trzeba zapomnieć o tym nieszczęsnym fakcie. Bandyci nie mają czasu pisać i redagować gazet, i tak wszystko pójdzie w niepamięć, podobnie jak wiele innych rzeczy.

Autorowi tego raportu z miejsca zbrodni udało się zdefiniować stawkę, trwającej do dzisiaj, wojny o Wandę. Wojny wypowiedzianej przez prosty lud rewolucyjnym panom, gorliwych katolików – wyznawcom bożka postępu. Stary, wspaniały świat przeciwko nowemu.

*Oni już idą huczą działa
Chłopcy azaliż nie strach wam?
Strach, aby wżgardy nie doznawał
Zbawiciel Jezus Chrystus Pan*

*Hańbę zgotują waszym ciałom
Honor i chwałę wydrą wam
Jedyną naszą czią i chwałą*

Zbawiciel Jezus Chrystus Pan

*Chłopcy huk armat się natężył
Naprzód zwycięstwo dajcie nam
My zwyciężymy gdy zwycięży
Zbawiciel Jezus Chrystus Pan*

Była to wojna totalna z obu stron: rewolucjonistom chodziło o zniszczenie wszystkiego, co reprezentowała Wanda, a nie tylko niej samej, Wandejczykom – nie o to, żeby powrócił ten czy tamten monarcha, ale Król Królów. To prawda, nie mieli czasu pisać ani redagować gazet, starczyło im go ledwie na ułożenie kilku pieśni. Ale to nie dzięki nim „to wszystko” nie poszło w niepamięć. Podobnie jak wiele innych rzeczy przetrwało na mocy prawdy, o której z zasady nie pisze się w gazetach. Nie ma takich szpalt, które byłyby ją w stanie pomieścić. Nie znalazł się też redaktor, który ośmieliłby się dopuścić ją do druku. Jest zbyt oczywista, by był sens o niej pisać i za bardzo okrutna, obrazoburcza by nie kłuła w oczy podczas lektury.

Słyszysz najmniejszy szmer owada i najbliższe słowo ludzkie. Nie uśmiecha się jednak nigdy, nawet wtedy, gdy świeci słońcem poprzez płatki jabłoni na wiosnę. Ale też nie marszczy się, nie wykrzywia oblicza złością nawet wtedy, gdy z obłoków czyni chmury i pędzi je nad płaską ziemią, zwiastując burzę. Nie okazuje ani miłości, ani nienawiści. Z niczego nie kpi, gdyż nic, co jest na ziemi, nie uważa za śmieszne. Nad niczym nie rozrywa szat, gdyż nic, co jest na ziemi, nie wydaje się jej tego godne. Niczego nie zmienia i niczego nie przeinacza.

Kto zabił muchę, ten zabił. Kto zabił człowieka, ten zabił. Jest idealnie obojętna, bo idealnie obiektywna. Jest prawdą całkowitą, gdyż przyrodzoną.

Pamięć o Wandei przetrwała we wszystkich tych miejscach i chwilach, o których pisze tu Józef Mackiewicz. W szmerze owadów krążących nad stosami trupów i promieniach słońca przeświecających przez liście odrastających z biegiem lat wandejskich lasów. Jest pamięcią całkowitą, bo przyrodzoną. Po ponad dwustu latach nazbierało się na temat tego ludobójstwa kilka książek, ale nie dlatego nie poszło ono w niepamięć. Wandejskie dziady odbywają się tam każdego zmierzchu, wszystkie pomruki nadciągających nad tę ziemię burz sprawiają, że rewolucjonistom i ich potomkom powinna cierpnąć skóra. Oni już idą, huczą działa. Chłopcy, azaliż nie strach wam?

**Pieśń „Les Bleus sont là” w przekładzie Jacka Kowalskiego.
Fragmenty raportów i sprawozdań napisanych przez
pacyfikujących Wandę rewolucjonistów cytuję za
„Niezbędnikiem Szuana” również jego autorstwa.**

Nagie, nieśmiałe stopy dotykają mnie tylko przez chwilę. Po jej upływie wyskakują jak oparzone. Zaczynają dreptać w te i z powrotem – bardziej czuję, niż słyszę ich kroki na piasku. Teraz już zagłuszają je nowe, szybsze i bardziej zdecydowane. Kolejne stopy, kostki, kolana i całe wdzierające się we mnie ciała. Niektóre przepuszczam, część unoszę, większości każe zawrócić. Jest noc i nie lubię, gdy o tej porze

ludzie mącą mój spokój. Zwierzęta to co innego. Są z natury bezinteresowne, kiedy do mnie przychodzą, rozumiemy się bez słów. Otwieram przed nimi ramiona, przyjmuję, pozwalam się dotykać, jesteśmy jednością, bo chodzi nam o to samo. Nie jestem dla nich przeszkodą, tylko faktem. Wiedzą, po co tu są, a ja – co mogę im dać. Z ludźmi jest inaczej, całymi sobą, każdym ruchem i grymasem mówią mi, że nie powinno mnie być, a jeśli już, to czemu akurat tutaj. Nie chcą mnie, więc ja nie chcę ich. To uczciwe.

Pierwszy raz widzę ich tu tak wielu. Nawet w słoneczne dni lata nie było tu takiego tłoku jak tej jesiennej nocy. Cienki strumyk próbujących się przedostać i wzbierające morze stojących na brzegu. W ich tle łuna ognia i krzyku – ludzi i drzew, krzaków i zwierząt. Ci, którzy mogą, uciekają w moją stronę. Słyszę ich, czuję, że w sercu błagają mnie o łaskę. Nie mogę im jej udzielić, jestem tylko rzeką. Nie obmywam, płynę.

Ludziom wydaje się, że kiedy mnie pokonają, przedostaną się na drugi brzeg, będą kimś innym. Przestaną budzić nienawiść, która przygnała ich tu tej nocy. A po tamtej stronie nic się nie zmieni. Gdyby zechcieli ze mną, we mnie zostać... Azyl, to jedno mogę im zaproponować. Jak tej dwójce, która była tu zaledwie wczoraj wieczorem. Rozpalili ognisko nad brzegiem, patrzyli na mnie, na siebie, milczeli. Potrafili się zachować. Przed wejściem zdjęli ubrania. Wiedzieli jak ze mną postąpić. Drżeli, ale nie złości czy strachu, chyba nawet nie z zimna. Weszli trzymając się za ręce, wpuściłam ich dalej. Przywarli, do siebie i do mnie. Nie szarpali się, nie walczyli, ich ruchy były płynne i naturalne. Obeszłam się z nimi tak łagodnie, jak tylko byłam w stanie. Ukryłam ich, napełniliśmy się sobą nawzajem.

Coraz więcej przedziera się na drugą stronę, coraz więcej czuję w sobie strachu i krzyku. To nie ja zmieniam ich, ale oni mnie. Zapamiętuje. Wszystko, co się we mnie wydarza, opada na dno, zostaje tam, w mule i piasku. Warstwa po warstwie, nanoszę jedne na drugie. Każde drgnienie na mojej powierzchni, wszystkie tajemnice chowane w głębi mnie. Opadają ciała i myśli; krzyki tonących, których nikt poza mną nie słyszy. Kamienie wrzucane przez dzieci i dzieci wrzucane przez katów. Gromadzę je, zachowuję, bo inaczej nie potrafię, nie wolno mi. Dla nich, dla każdego z obcych i przybyszów, jestem nurtem, zmianą. Ale sama dla siebie – dnem bez dna, pamięcią bez początku ani końca.

Bo we mnie wszystko jest na raz. Ta noc, od której zaczęłam swoją opowieść, ale i ta, której statki wypływają na moją powierzchnię, ale tylko po to, żeby już po chwili zacząć się zanurzać. Ich dna są już wcześniej dziurawe albo właśnie zostały przedziurawione przez wystrzeliwane z brzegu kule. Moje dno już na nich czeka, przyciągam ich i zachowam na własność. Ich nogi i ręce są związane, więc poruszają głównie ustami. Na końcu już nie krzyczą – rytmicznie, jak mechanizm wyrzucają z siebie w kółko jedne i te same słowa. Przez chwilę jesteśmy w ich ustach razem – one i ja. Nie rozumiem ich, czuję tylko, że są teraz spokojniejsi, droga w dół staje się łagodniejsza. Nie muszę ich ciągnąć, opadają lekko, układam ich do snu. Na moim dnie jest wiele mieszkań, dla wszystkich starczy miejsca. Nie oczekujcie ode mnie łaski, to udzielenie wam azylu.

I kolejna noc. Już nie jedno a mnóstwo ognisk na brzegu. Nie dwójka, a setki nagich ciał. Nie wchodzi we mnie, zostają wepchnięte. Teraz poznaję, czuję, że są ze sobą ciasno związani i tak naprawdę nie chcą być ze sobą ani we mnie. Dlatego ich droga jest dłuższa niż tamtych

sprzed kilku nocy. Walczą do końca, próbują się od siebie uwolnić, przyglądam im się, obejmuję, kołyszę. Choćby ta dwójka. Oboje są starzy i wygląda na to, że bardziej nawet wstydzą się siebie nawzajem niż boją śmierci. Ci, którzy ich tu przyprowadzili widzą to, dlatego związali ich nie tylko w pasie, nogach i rękach – jak pozostałych – ale również na wysokości szyi. Próbuje zamykać oczy, odwracać wzrok, wykręcać głowy – tylko, że wtedy zaczyna brakować im powietrza. A teraz nie ma dla nich nic droższego. Nie krzyczą, dookoła jest i tak za dużo krzyku, nikt nie usłyszy, tylko to drugie. A tego się wstydzą.

Stoją na skarpie, w miejscu, z którego dziś ich do mnie przyprowadzają. Czekają na swoją kolej, pośród tylu innych właściwie niczym się nie wyróżniają, poza swoim wstydem. Poza tym, że chcieliby przede wszystkim nie być zauważeni, nie przeżyć, zniknąć. Bardziej niż spotkania ze mną boją się tej chwili, w której wejdą cali w krąg światła, rzucanego przez pochodnie. Oni się boją, a ja czekam. Jestem ich ciekawa, mają w sobie coś innego. Na przykład to, że teraz, w ostatnim momencie, zaczęli ze sobą cicho o czymś szeptać. Jakby ustalali wspólną wersję wydarzeń, jakby ktoś miał ich o coś zapytać, a od ich zgodnej odpowiedzi bardzo wiele zależy. I nie przed nimi, przed tymi, którzy zaraz wepchną ich w moje ramiona, będą się tłumaczyć. Tamtych nic nie interesuje. Ulotnił się już entuzjizm, który mieli w sobie jeszcze kilka godzin temu. Teraz są zmęczeni, trochę śpiący, chcieliby mieć to wszystko już po prostu z głowy.

Nie, to nie z nimi, a ze mną będą rozmawiać. Nie będą prosić, zaklinać, niczego ode mnie nie chcą. Właśnie to mnie w nich ujęło. Oni pojęli, że nie jestem sędzią, tylko świadkiem. Nic ode mnie nie zależy, nie

wykonuje niczyich rozkazów, nie ma takiej woli, która mogłaby mnie do czegoś nagiąć, zaszantażować ani przekonać. Ja tylko rejestruję, przyjmuję, układam, pamiętam. Płynę. Nadeszła ich kolej.

Teraz widzę ich dokładnie, czuję ich zapach. Pot człowieka dostosowuję się zapachem do jego wieku. Miałam w sobie dzieci i starców, kochanków i morderców. I wiem, że dziecięcy pot nie pachnie, bo nie musi. Informacji, która jest w nim zawarta, nie byłoby komu przekazać. To dopiero w młodości pot staje się ostry i przenikliwy, jest w nim jakaś determinacja i zwierzęcość. Gryzie. Z wiekiem łagodnieje, uspokaja się, żeby na starość zacząć trącić zapachem zgnilizny. Wydziela się w chwilach strachu i podniecenia, które nie powinny się już zdarzać ciału po wszystkich tych latach. Tych dwoje pachnie inaczej, bardziej lasem niż pleśnią. Jest w nich jakiś podmuch, coś wzbierającego, świeżego. Coś, co nie pasuje do jej obwisłych piersi i jego łysej głowy. Coś spoza nich. Jestem ciekawa, czekam z niecierpliwością.

Pozostali też to chyba zobaczyli, bo zaczynają się spieszyć, mówią krócej niż w przypadku pozostałych i już bez tego śmiechu, udawanej powagi. Jakby to teraz oni zaczęli się samych siebie wstydzić.

– W imieniu republiki ogłaszam was mężem i żoną.

Powitałam ich radosnym pluskiem, ich spokój napełnia mnie, łagodzi na moment całe wzburzenie, które muszę dziś w sobie ukryć. Patrzą sobie głęboko w oczy, zaczynają mówić słowa, których nie rozumiem, ale podoba mi się, że robią to płynnie, razem, z ulgą i płynącym z nich spokojem, że przypomnieli je sobie w ostatniej chwili.

– ... pokrop mnie hizopem a stanę się czysty

obmyj mnie, a nad śnieg wybieleję...

Bądźcie moimi gośćmi.

Podobne noce powtarzają się przez jakiś czas. Potem przychodzą inne. Choćby ta, kiedy wokół panuje dla odmiany całkowita cisza i znowu jest jesień. Z daleka widać tylko płonące, pojedyncze ogniska. Nie mają już w sobie nic z tamtego lęku i złości. Napawają mnie spokojem. Również dlatego, że dzięki temu mogę być sama. Taki ogień – pojedynczy, osobny – gromadzi ludzi wokół siebie, nie przegania. Rozglądam się wokół, wygląda na to, że nikogo nie ma. Zaczynam nucić, sama dla siebie, moją pieśń. W języku, który tylko ja rozumiem i o rzeczach, o których nikomu innemu nie wiadomo. Nawet gdyby jakieś zwierzę lub człowiek zaplątało się tu w tej chwili, niczego by nie zrozumiało. Mimo tego wolę to robić w samotności. Może ja też mam swój wstyd.

Nie muszę wymyślać jej melodii, słów ani tempa. Pozwalam jej płynąć. Unieść się z samego dna temu wszystkiemu, co tam zgromadziłam. Lubię to. Jest to chyba jedyna rzecz, którą naprawdę lubię – nie muszę śpiewać, ale kiedy zaczynam, mój szmer zaczyna trochę przypominać język ludzi. Gdyby tylko oni potrafili się w niego wsłuchać, miałabym im wiele do opowiedzenia.

Muszę przerwać. Ktoś, zwierzę lub człowiek, nie widzę w ciemnościach,
biegnie wzdłuż brzegu. Księżyc oświetla jego sylwetkę, jednak człowiek.
Twarz ma wykrzywioną, zaczyna krzyczeć. Wygląda jakby zobaczył...
Zdaje się, że ludzie nazywają to duchami.

Jan Maciejewski